

Zastanawiałem się, jaki będzie kształt naszej reprezentacji w roku 1976? Czy potrafi utrzymać polski styl gry? Zachować równowagę między obroną i atakiem? Dobra drużyna musi uwzględniać w tej materii trendy światowe, ale też rozwijać i wzbogacać w futbolu to, co typowo polskie odpowiadające naszej psychice, ambicjom i konkretnym zadaniom. Styl w piłkarstwie jest trwałą wartością, charakterystyczną dla danego środowiska, kraju, narodu. Reprezentacyjna drużyna bez własnego stylu, to tak – jak kobieta bez miłego uśmiechu i zgrabnej sylwetki.

Nadal obowiązywało u nas hasło „Jaka liga, taka reprezentacja”, ale było dalekie od prawdy. Kluby staczały się w przepaść moralną. W sezonie 1974/1975 w skali dotychczas niespotykanej sprzeniewierzyły się zasadom czystej gry, poszanowaniu w sporcie dobrych obyczajów. Na ligowe boiska wkradły się elementy przekupstwa, wybiórcze traktowanie rywali, jawne fingowanie wyników spotkań. Nawet nowy mistrz Polski Ruch Chorzów zakpił sobie z idei fair play. Rozsierdzony porażkami Ruchu z Arką Gdynia 0:1 (w pierwszej rundzie wygrana 6:0!) i z Gwardią Warszawa 1:4 na własnym boisku (pierwszy mecz w Warszawie 3:1 dla chorzowian), zapytałem ówczesnego prezesa „niebieskich” wiceministra Ryszarda Trzcionkę – „co to wszystko znaczy...”. Usłyszałem odpowiedź typową dla lat pięćdziesiątych, kiedy obowiązywało socjalistyczne współzawodnictwo, bicie rekordów produkcyjnych, a po wykonaniu normy – laba, jak za króla Sasa: „Jedz, pij i popuszczaj pasa...”.

Ruch przed terminem wywalczył mistrzostwo, ma więc teraz prawo do zasłużonego odpoczynku.

## HODOWCY SPRYCIARZY I PASOŻYTÓW

„Odpoczywali”, inaczej mówiąc wypaczali sens ligowej rywalizacji nie tylko mistrzowie Polski. Praktycznie każdy zespół, wolny od obaw przed spadkiem i nadziei na mistrzostwo, bimbał sobie z rozgrywek. Zjawisko niecodzienne!

Nawet byli mistrzowie Polski: Legia Warszawa, Górnik Zabrze i Polonia Bytom specjalnie się nie wysilali, natomiast aż 8 innych klubów z reguły niedozwolonymi środkami „broniło” się przed degradacją. Strefa spadkowa zmieniała kształt praktycznie co tydzień – w zależności od tego – komu tzw. „drużyny środka” sprzedawały punkty. Nikt nie chciał być „czerwoną latarnią”, ale robił to w sposób ohydny. Ostatecznie aż sześć drużyn „wywalczyło” po 26 punktów, jeden – 27 i jeden – 28. Spadły Arka i Gwardia, mimo że przodowały w prokurowaniu „niedzieli cudów”. Miały niekorzystną różnicą bramek i... niefortunny układ kalendarza gier. Przedostatni mecz rozegrały między sobą. Nie mogło więc być ani kupującego, ani sprzedającego. Padł remis 2:2 i zdegradował obu rywali.

W artykule „**Ucieczka przed odpowiedzialnością?**” pisałem po tych kabaretowych rozgrywkach:

...Liczne deklaracje i płomienne publiczne wystąpienia funkcjonariuszy klubowych i trenerów (to jest najgorsze) rozmijały się z ligową rzeczywistością. Najwięksi winowajcy głosu nie zabierali, spuścili tylko nosy na kwinty. Taka jest naga prawda o naszej lidze i ludziach kierujących klubami... Hodujemy pasożytów i spryciarzy. Kto tego nie widzi, nie powinien być akceptowany przez nasze środowisko... W nowym sezonie PZPN musi częściej zaglądać za kulisy ligowych zmagania i ostro piętnować tych, którzy plamią i hańbią nasz futbol.

Kierownictwo PZPN nie zbyło tych obaw milczeniem. Wydano oficjalne „**Oświadczenie w sprawie niektórych ujemnych zjawisk w piłkarstwie**”. Zwolenników ostrych cięć, także mnie autora „Ucieczki od odpowiedzialności”, tylko częściowo zadowolili zaprezentowane tam opinie: ... *„W niektórych przypadkach Zarząd PZPN w pełni podziela te obawy i krytyczne oceny. Równocześnie nie można się zgodzić z opiniami skrajnymi, negującymi cały dotychczasowy dorobek, poddający w wątpliwość uzyskane rezultaty wieloletniej pracy”*.

W „Oświadczeniu...” sugerowano, a właściwie sprowadzono cały splot fatalnych wydarzeń tego kabaretowego sezonu do braku pracy wychowawczej w klubach. „W stosunku do klubów, które w końcowej fazie rozgrywek tolerować będą u zawodników nie uzasadniony spadek formy, zostaną wyciągnięte surowe konsekwencje. Zarząd PZPN stwierdza również negatywne zmiany w postawach, trybie życia i zachowaniu u niektórych członków kadry narodowej seniorów, młodzieżowej, a nawet juniorów... Przykładem naruszenia zasad moralno-etycznych było zachowanie się dwóch członków kadry PZPN – Gorgonia i Szarmacha... Daje się zauważyć zjawisko merkantylnego traktowania sportu przez niektórych zawodników, wyrażające się w dążności do częstych zmian klubowych, wygodnego urządzania się w życiu, wywierania nacisku na zarządy i kluby. Zdecydowanego przeciwdziałania wymaga lansowanie tu i ówdzie kariery... na grze w zawodowym klubie”.

Całe „Oświadczenie” spreparowano na modłę dorastających pań „chciałabym, ale boję się” i praktyk określanych w przeszłości jako „ni pies, ni wydra”. Końcowe fragmenty przypominały czasy, kiedy dyskusje o zawodowstwie w piłce nożnej były tematem wstydlivym, a transfer zagraniczny owocem zakazanym. Z „Oświadczenia” niesposób też było zorientować się, jakie to grzeszki na sumieniu mieli Gorgoń i Szarmach. Z niewiedzy wyprowadził nas list stałej Czytelniczki „Piłki Nożnej” pani Zofii Mierzyńskiej.

...W dniu 12.VI.1975 wracałam z przyjaciółką z Francji. Do pociągu wsiadła drużyna Górnika Zabrze wracająca z rozgrywek towarzyskich z Valencienes. Do przedziału zajmowanego przez pasażera francuskiego i przez nas, wkroczyło kilku zawodników wspomnianego klubu. Rozpoznając niektórych sportowców (znanych nam tylko z telewizji lub prasy), byłyśmy usatysfakcjonowane, że ich widzimy i poznamy osobiście. Jednak po 15 minutach pobytu w jednym przedziale rozczarowałyśmy się... Zachowanie niektórych jak by nie było

światowej sławy zawodników, było wprost żenujące. Jak przez mgłę mętnie patrzący pan Gorgoń zaczął od małego strip tea-se'u. Co go tam obchodziły siedzące obok jakieś tam k...., tak właśnie bezceremonialnie wyraził się zawodnik. Na zwróconą uwagę przez kolegów (zupełnie przyjemnych i kulturalnych) zareagował w sposób natychmiastowy, obrzucając ich wiązką wulgarnych słów”...

Po ostatnich sukcesach niektórym piłkarzom wyraźnie poprzewracało się w głowach. Epilog tej sprawy? Trzej zawodnicy Górnika, w tym właśnie dwaj reprezentanci Polski Gorgoń i Szarmach, zostali ukarani dyskwalifikacjami bezwzględnymi (Gorgoń) i w zawieszeniu (Szarmach) oraz skreśleniem z listy członków kadry narodowej. A jednak obaj polecili z Kazimierzem Górskim na tournée do USA i Kanady. Jak to możliwe? Po prostu macierzysty klub obu piłkarzy o tym skandalicznym wydarzeniu powiadomił właściwe organa PZPN dopiero w przeddzień odlotu ekipy za Ocean. Na korekty było już za późno.

Na początku sierpnia ruszyła liga. Nowością był powrót do krajowej elity Widzewa. Postarali się o to prezes Ludwik Sobolewski i trener Leszek Jezierski. Z garstki rozbitków ŁKS-u i innych łódzkich klubów zbudowali drużynę, która z czasem stała się piłkarską wizytówką naszego kraju. Ligowy debiut widzewiacy mieli jednak kiepski, przegrali u siebie z Pogonią Szczecin 0:2. Zapłacili „frycowe”. Grali ambitnie, nawet dość nowocześnie, ofensywnie, ale w rażącej z tym dysproporcji pozostawało doświadczenie i boiskowe obycie. Obiecująco zaprezentował się tylko utalentowany „wymiatacz” Paweł Janas. Trudny sezon przed Widzewem. Kibice byli niepokieszeni...

Nagle, ni stąd ni zowąd, podeszło do mnie dwóch młodych, rosnących i pewnych siebie mężczyzn. Chwycili za rękę i stanowczo wyartykułowali:

– Pan pozwoli z nami, obywatelu...

Nie protestowałem, zresztą każdy opór byłby w tej sytuacji nie na miejscu. Byłem w kleszczach dwóch osiłków. Doprowadzili mnie do niewątpliwie wyż-

szej rangi funkcjonariusza. Zameldowali: – Zadanie wykonane! Oto redaktor Jerzy Lechowski... Spojrzałem milcząco na uśmiechniętego faceta, ale już po chwili język mi się rozwiązał:

– Julek, to ty?! – Ryknąłem, jak jakiś zwierzak.

– Jurek, to ja Julek! – Uwiesił mi się na szyi kumpel z lat szkolnych, Sza-rych Szeregów i wspólnej gry w HKS-ie Skierniewice. – Wreszcie cię dorwa-łem! Musimy to uczcić! Zaraz po meczu...

– Może być z tym mały kłopot – nieśmiało odpowiedziałem. – Nie jestem tu sam... Kierowca, no i trener Górski... Mamy razem wracać do Warszawy.

– No to prosz pana Kazimierza. Jest przecież w Łodzi mile widziany. Czy jeszcze trenuje ŁKS? Już dzwonię do kasyna, niech przygotują stolik...

Julian Figat, bo to z jego rozkazu porwali mnie „jacyś dwaj cywile”, do dziś mieszka w długim bloku na przeciwko stadionu Widzewa. To jego ulubiony klub. Także żona Julka pani Helenka, najczęściej przy koniaczku mile wspominała Boń-ka i Młynarczyka. Nie lubię być dłużny, przeto dość często łodzianie byli rów-nież moimi gośćmi. W Brzezinach pod Łodzią właścicielem przytulnej knajp-ki „Słoneczna” był Jan Kuś, mój dobry znajomy z Warszawy. Po każdym meczu obojętnie ŁKS-u czy Widzewa, w drodze powrotnej z Łodzi do Warszawy za-trzymywaliśmy się właśnie w Brzezinach. Było miło i wesoło. Do domu nikomu się nie spieszyło. Z reguły biesiadowaliśmy do białego rana. „Naturalnej selekcji” nie było. Do towarzystwa wybierałem ludzi z mocną głową.

Nie był to rok dobry dla naszych reprezentacji. Wszystkie, począwszy od juniorów, skończywszy na pierwszym zespole narodowym, wyraźnie kulały. Nie było awansów i medali. Gra kadry A nikogo nie zadowalała. Drużyna Under – 23 zrobiła wyraźny krok wstecz, Under – 21 też nie napawała optymizmem. Naj-więcej rozczarowań przeżyli opiekunowie juniorów. Metody szkoleniowe trene-ra Mariana Szczechowicza doprowadziły do katastrofy. Nawet Dania, co najwy-



żej średniak europejski w tej kategorii młodzieżowców, zepchnął naszych chłopców do kąta!

Tu i ówdzie usiłowano tłumaczyć to brakiem szczęścia, pechem, złośliwością losu. Tymczasem o wszystkim decydowało nasze ubóstwo techniczne i jednostronna taktyka. Trenerzy głównie najmłodszych drużyn (w epoce „gry wszystkimi siłami!”) kładli nadmierny nacisk na warianty defensywne i prymitywne formy kontrataku. Szkoleniowe wygodnictwo. Łatwiej przecież jest się bronić, niż atakować, coś zburzyć, niż zbudować, łatwiej też nauczyć kilku szybkich wypadów niż przemyślanego ataku pozycyjnego. Jeśli więc jeszcze dziś, w pierwszych latach XXI wieku stale powtarzamy, że *„z atakiem pozycyjnym w stopniu zadowalającym nie radzi sobie żadna polska drużyna”*, to sięgnijmy do źródeł tej ułomności. Historycznie tkwią w modzie znacznie części trenerów „na pracę poprzez drogę na skrót”.

Rok Olimpiady w Montrealu miał w znaczący sposób poprawić wizerunek głównie drużyny narodowej. Obrona złotego medalu z Monachium wymagała priorytetu organizacyjnego, szkoleniowego, propagandowego. Ambicje ogromne, determinacja już znacznie mniejsza, a poczucie rzeczywistości i troska o przyszłość reprezentacji – ledwo dostrzegalne. Postanowiono, że ten sam zespół będzie bronił naszych barw w Montrealu i w kolejnych eliminacjach mistrzostwa świata. Pociągnięcie ryzykowne i szkoleniowo nieuzasadnione. Optowałem za powierzeniem tych zadań dwóm odrębnym zespołom – olimpijskiemu w Montrealu i narodowemu w Argentynie. Uznano, że polskie piłkarstwo na to nie stać. – *A czy jedną i tę samą drużynę stać jest na trzymanie kilku srok za ogon?* Zbyto to milczeniem.

Na wszystkie pytania, wątpliwości, obawy sceptyków i nadzieje optymistów miały odpowiedzieć już pierwsze miesiące przygotowań do sezonu 1976. Niezbędną wiedzę na ten temat starano się wydobyć od Górskiego w telewizyjnej

audycji „**Wszystko za wszystko**”. Kazio znany z uśmiechu, pogodnego podchodzenia do najbardziej drażliwych spraw, tym razem był nie do poznania. Inny, niż zazwyczaj! Mniej dowcipny, raczej ponury, mało energiczny, chwilami uległy, na szczęście tylko do pewnych granic. Atakowano go ostro, pytano bez ogródek, jaki będzie ten Nowy Rok 1976. Jednoznacznej odpowiedzi nie otrzymano. Kamouflaż czy zmiana taktyki? Obojętność czy zmęczenie? Górski tracił zapał?...

Optymistą nadal był przede wszystkim prezes PZPN, Jan Maj. Twierdził, że *„jesteśmy bogatsi o doświadczenia, a to pozwoli lepiej rozwiązywać wszystkie problemy”*. Z pomocą, głównie w sprawach transferowych, PZPN-owi przyszła też Polska Federacja Sportu. W Uchwale nr 7/75 podkreślono, że zmiana barw klubowych może nastąpić zarówno na pisemny wniosek zawodnika jak i decyzji wojewódzkiej federacji sportu lub PZPN w „przypadkach szczególnie uzasadnionych szkoleniowo”. Piłkarz nie może być ukarany dyscyplinarnie po złożeniu wniosku o przejście do innego klubu. To już jakiś krok do przodu, bo wcześniej „przywiązanie zawodnika do klubu” było jeszcze mocniejsze.

Kazimierz Deyna, kapitan Legii i reprezentacji Polski jeszcze nie myślał o zmianie barw, ale chęć pożegnania się z reprezentacją już zasygnalizował. Bardziej po koleżeńsku niż oficjalnie, poinformował mnie o tym ówczesny trener Legii Andrzej Strelau:

Kazio zamierza zerwać z reprezentacją zaraz po Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu.

Tymczasem w prasie zastanawiano się, czy legionście nie należało by powierzyć funkcji libero w reprezentacji. Deyna polskim Beckenbauerem! Podchwyciłem ten temat, uwypuklając wszystkie atuty trzeciego piłkarza świata. Zastrzegłem jednak, że Deyna z 1975 roku nie podołałby takiemu zadaniu. Wprawdzie w meczu z Holandią w Chorzowie był dobrym „wymiataczem” linii pomocy, ale w klubie – z powodu braku sił – coraz rzadziej wykonywał zadania klasycznego środko-

wego pomocnika. Był raczej „łazikiem” pod bramką przeciwnika z czasów systemu „trzech obrońców”. W nowym sezonie najpierw musi odbudować szeroko pojętą sprawność fizyczną, dawne miejsce w pomocy drużyny klubowej i w reprezentacji. Być libero – to nie jest łatwy chleb! Przekonał się o tym Leszek Ćmikiewicz.

W styczniu 1976 roku powołano zespół przygotowawczy olimpijskich. Kierownictwo tego ciała powierzono Henrykowi Losce, od niedawna wiceprezesowi PZPN do spraw szkoleniowo-sportowych. Sekretarzem tej komisji był red. Stefan Grzegorzyc. Loska to znana postać w polskim futbolu. Niegdyś na Śląsku sam uprawiał piłkę nożną, później był wziętym działaczem Górnika Zabrze, attache reprezentacji podczas X Mistrzostw Świata w RFN, a teraz szefem sztabu olimpijskiego. Obok wielu zasług i zalet czysto piłkarskich miał (ma?) jedną szczególną – zawsze był moim przyjacielem i wysoko cenił pracę każdego dziennikarza piszącego i mówiącego. Nawet do późnych godzin nocnych lubił pograć w brydża, także w pokera głównie w towarzystwie Ślązaków z kasą dla mnie nieosiągalną. Grywał też ze mną w kariokę, a z Mirkiem Skórzewskim w „numerki”. Obaj zapaleni hazardziści!

Nie było meczu, koleżeńskie spotkanie, konferencji prasowej lub okazjonalnego toastu, bez żonglowania banknotami. Jeden z nich wyjmował najczęściej „stówkę” z własnej kieszeni, podsuwał pod oczy partnera i zachęcał: „Strzelaj!”. Na każdym banknocie jest siedem cyfr. Heniek najczęściej stawiał na „dwie pierwsze i ostatnią”, natomiast Mirek „pierwsza moja, reszta twoja”. Nigdy nie zaglądałem im do portfeli, ale śmiem twierdzić, że po tych licytacjach dość często u jednego z nich były one puste.

Miruś nakłonił Henia do jeszcze jednego hazardu – gry na służewieckich wyścigach. Tam już najczęściej czekał na nich Janek Ciszewski, bywali też Maciej Biega i Grzegorz Stański. Byli tak zakochani w tych kłusujących konikach, że zwłaszcza w sobotnie popołudnia dość często zapominali o rozgrywkach ligowych. Mnie do tych upodobań przekonać nie mogli. Mecz ligowy był dla mnie



rzeczą świętą. Miałem też duszę gracza, ale gustowałem wyłącznie w rozgrywkach zależnych od moich umiejętności. Stawiałem je ponad przypadłości losu i rozwój wypadków ode mnie niezależny. Tu najbardziej różniłem się z filozofią Kazimierza Górskiego. On z gruntu człowiek myślący, fan profesora Tadeusza Kotarbińskiego i jego „Traktatu o dobrej robocie”, niekiedy z własnej nieprzymuszonej woli powiadał, że „los tak chciał”. Ja natomiast nie grałem nawet w totka piłkarskiego. Tu stanowczo za często fingowano wyniki.

W pracy z reprezentacją takie „numery” byłyby niemożliwe. Dlatego chętniej i bez większych obaw typowałem wyniki spotkań międzypaństwowych. Decydowała wiedza o tradycjach, kulturze piłkarskiej danego kraju, umiejętnościach i aktualnej formie kadrowiczów. U nas u schyłku 1975 roku ta forma nie była najlepsza, zmienna, jednak dużo lepsza od „ligowej huśtawki”. Drużyna narodowa jako owa topola – samotnica wyrosła ponad ligę i całe nasze piłkarskie zaplecze. Kluby nie potrafiły wykorzystać osiągnięć medalistów olimpijskich i mistrzostw świata, a władze PZPN kapitału sławy. Nieprzemysłana reforma z 1973 roku doprowadziła do upadku nie tylko średnie kluby, także niektóre duże i małe. Czy sukcesy reprezentacji długo jeszcze będą alibi dla nieodpowiedzialnych postaw działaczy?

W tekście „**Czego oczekujemy**” postawiłem sporo znaków zapytania. Jak w styczniu pracowano w klubach? Czy kadrowicze na zgrupowanie kadry stawią się w lepszej formie niż przed rokiem? Trener Górski na tournée do Hiszpanii powołał cały zastęp młodych zawodników. Jak ich przyjmą Deyna, Szarmach, Szymanowski i Żmuda? Przebudowy wymagają niemal wszystkie formacje. Czy reprezentacyjna „starszyzna” dostrzeże tę potrzebę? Czy podczas tej wyprawy w ogóle pojawią się jakieś nowe nazwiska? Przed rokiem odkryciem był Henryk Wawrowski. Teraz wyróżniają się Zbigniew Boniek i Janusz Kupcewicz. Czy to przyszli olimpijczycy?...

Na zgrupowanie kadry do Hiszpanii trener Górski zabrał 18 zawodników. Była to typowa „mieszanka rutyny z młodością”. Pierwsze dwa mecze Polacy wygrali dość łatwo – z Betisem Sewilla 4:1 i z Malagą 2:1, ale trzeci z Deportivo La Coruna przegrali 1:2. Żadnego przedstawiciela prasy tam nie było. Przekazujący informacje z tych spotkań Zbigniew Należyty i Ryszard Kulesza byli zadowoleni. Pochwalili młodych: Zbigniewa Płaszewskiego, Zbigniewa Bońka, Janusza Kupcewicza, Tadeusza Pawłowskiego i Janusza Sybisa, także nieco starszych – Stanisława Burzyńskiego i Pawła Janasa, a ze starej gwardii przede wszystkim Deynę za wspaniałą grę w dwóch pierwszych meczach.

Kadra młodzieżowa poleciała do Kuwejtu. Reklamowano ją tam jako czołową drużynę świata. Zdumiało to miejscowych kibiców, bo Polacy przegrali z Arabami. Nas też mocno to zdziwiło, ale gdy dowiedzieliśmy się, kto tak na prawdę reprezentował tam nasze barwy, złość z piłkarzy przeszła na działaczy PZPN. Bez rozeznania terenu i przeciwnika dobrzy wujkowie z piłkarskiej centrali wysłali do Kuwejtu drużynę klubową GKS Tychy, wzmocnioną kilkoma młodzieżowcami z Pogoni Szczecin i Zagłębia Sosnowiec. Cel? Bardziej polityczny, niż sportowy. Tamtejsza prasa dobrze to wykorzystała: „Piękny prezent na Święto Niepodległości Kuwejtu – trzecia drużyna świata pokonana 3:1”.

Z niesmakiem przyjąłem obie przegrane – tę pierwszą 1:2 w Hiszpanii w dość mocnym składzie i tę drugą 1:3 w Kuwejcie... pospolitego ruszenia. Rozumiem – pisałem – że nie w każdym meczu i nie za wszelką cenę trzeba wygrywać, rzucając przy tym na szalę cały prestiż i zdrowie: „zastaw się, a pokaż się!”. Ale nie wypada też mydlić oczu mocno wyświechtanymi opiniami „*w tym meczu wynik nie był najważniejszy, chodziło głównie o wypróbowanie młodych zawodników i nowych koncepcji taktycznych*”. Istnieją przecież jakieś granice lżejszego traktowania przeciwnika, na miłość boską – kadra narodowa nie może przegrywać z „kelnerami”. Każdy mecz toczy się o jakąś stawkę: szkoleniową, wido-

wiskową, finansową, prestiżową. Jest walką o zwycięstwo! Bałamutne są tłumaczenia większości trenerów: – *Przegraliśmy, ale cel szkoleniowy osiągnęliśmy. Zwycięstwa przyjdą później...*

Trener Kazimierz Górski z reguły unikał takich bzdurnych wypowiedzi. Wiosną 1976 roku musiał szczególnie ważyć słowa. Być w zgodzie z obiektywną prawdą i stojącymi przed nim zadaniami. Drużyna szykowana na Olimpiadę przegrywała bowiem mecz za meczem, najpierw w Chorzowie z Argentyną 1:2, potem w Lens z Francją 0:2, w Atenach z Grecją 0:1, w Bazylei ze Szwajcarią 1:2, wreszcie w Poznaniu z Irlandią 0:2. Fatalna seria – pięć kolejnych przegranych! Dopiero łatwe 3:0 z amatorami Brazylii przerwało tę złą passę. Jak więc będzie w Montrealu? Przegrywaliśmy, ale cel szkoleniowy osiągnęliśmy... Zwycięstwa przyjdą później?...

Poza meczem z Francją byłem „świadkiem koronnym” wszystkich pozostałych występów „biało-czerwonych”. Obok olimpijskich mistrzów i mundialowych medalistów pojawili się w reprezentacji: Stanisław Burzyński, Paweł Janas, Zbigniew Płaszewski, Wojciech Rudy, Janusz Kupcewicz, Zbigniew Boniek, Jan Benigier, Zygmunt Garłowski, Czesław Boguszewicz, Tadeusz Pawłowski, Roman Ogaza i Piotr Mowlik. Nie wszyscy z nich zdali egzamin, ale były to jednak próby pożyteczne. Wiedzieliśmy po nich na czym stoimy. Górski prosił: – *Bądźmy cierpliwi... Nasz program przygotowań do Igrzysk Olimpijskich spotkał się z uznaniem Polskiej Federacji Sportu.*

– To znaczy?

– Spokojnie, nie jesteśmy bez szans...

– Czy ta obietnica wystarczy?

– Powiem wprost: nasz zespół od pewnego czasu nie robi postępów. Więcej, gra gorzej, niż na przykład w czasie X Mistrzostw Świata. Mówię o pewnych elementach taktycznych i... wygodnictwie w grze.

– Czyja to wina? Samych zawodników?...

– Szukam przyczyn... Na dziś prawda jest taka, że to, co dotychczas robiliśmy dobrze, teraz tylko dostatecznie. A chciało by się pójść dalej...

– Co więc należy zrobić? Jakie podjąć decyzje?

– Widzę konieczność zmian personalnych w zespole... Starsi zawodnicy stanowczo za często stosują atak pozycyjny. To dobre, ale tylko wtedy ma szanse powodzenia i jest skuteczne, kiedy po długo trwającej akcji przygotowawczej następuje nagły przerzut. Dziś tego nie ma... Na nic więc i cały atak pozycyjny!...

– A szybki?

– O tym trudno nawet mówić – zginął śmiercią naturalną. Trzeba go przywrócić, bo to była nasza najsilniejsza broń. Wygodnictwo i złe nawyki są nie do przyjęcia w reprezentacji.

– Interesują mnie nowe rozwiązania personalne.

– Proszę, bardzo proszę... Liczę wciąż na Janasa, Rudego, chcę wreszcie przekonać się, co jest wart Boguszewicz, a także myślę o daniu szansy Olszy, Kusiście i Ogazie.

– To przyszłość... Czy wróci do bramki Tomaszewski?

– Tak, ale nie tylko on...

Selekcjoner dotrzymał słowa, „Tomek” wrócił do zespołu już w meczach z Grecją i Szwajcarią. Ale tylko on! Większość tuzów z mistrzostw świata dostała kosza...

– Znowu zaskoczyłeś opinię publiczną. W kadrze na Grecję i Szwajcarię nie ma: Gorgonia, Deyny, Kasperczaka, Szarmacha... Przemyślałeś tę decyzję?

– Są na pewno ryzykowne... Czy je przemyślałem?... Tak! I to bardzo... Ale samo myślenie tu nie wystarcza. Każde nowe rozwiązanie, każdy nowy wariant trzeba sprawdzić na boisku.

– Opinia publiczna przyjęła tę „kurację wstrząsającą” z aprobatą. Dlaczego?...

– Bo to była decyzja nie tylko ryzykowna, ale i konieczna. Reprezentacja osiągnęła taki krytyczny punkt, że innego wyjścia jak ostre cięcie, nie było. Pozbyłem się asów z reprezentacji nie dla przykładu, doraźnego efektu, ale dla dobra sprawy. Dla reprezentacji... Ostatnio atmosfera wokół nie była najlepsza...

– Masz pretensje do zawodników?

– Nie, nie mam. Mogę mieć tylko pretensje do samego siebie, że ich tak długo powoływałem do reprezentacji.

– To kwestia zaufania...

– Tak, ale nie tylko. To także przyzwyczajenie, przejaw sentymentu. Człowiek czasem zapomina, że złoty medal olimpijski i srebrny na mistrzostwach świata, to już historia. W sporcie liczy się tylko dzień dzisiejszy i najbliższa przyszłość.

– Nie jest różowo. W lidze grają słabo zarówno ci starsi zawodnicy, z piękną kartą w historii, jak i ci młodzi, którzy dopiero będą ją pisać...

– Niestety, to prawda. Niepokojące zjawisko. Nie wiem nawet, na co faktycznie stać jednych i drugich. To martwi i boli najbardziej. Nie chcą czy nie mogą?

– Chyba jedno i drugie – wtrącam uspokajająco.

– I ja tego nie wykluczam, jednak stale się zastanawiam, jak można tak bez troski roztrwaniać ciężko wywalczony dorobek. Zawodnik nie gra tylko dla siebie i nie reprezentuje wyłącznie własnego nazwiska. Reprezentacja – to drużyna narodowa, ma barwy państwowe, jest dumą całego kraju. Kto o tym zapomina, nie będzie akceptowany przez społeczeństwo.

– Czy już wszyscy „wygodniczy” są poza kadrami?

– Nie, w zespole, z którym udajemy się do Grecji i Szwajcarii, jest jeszcze kilku takich zawodników.

– Generalnie zaufałem młodym...

– Nie zaufałem, tylko daję im szansę. Praktyka pokaże, czy miałem rację...



## NIEWYPAŁ POD AKROPOLEM

Była to moja ostatnia rozmowa z Kazimierzem Górskim przed odlotem do Aten. Ponownie spotkaliśmy się na zbiórce ekipy w hotelu „Metropol” w Warszawie. Rutyniarze z pełnym spokojem i zrozumieniem przyjęli „ostre cięcia” w kadrze. Nie gardłują. Młodzi nie dają po sobie poznać, że może ich zżerać trema lub obawa, że mistrzowie źle ich potraktują. Czy jednak zebrańni z „marszu” podołają reprezentacyjnemu wyzwaniu. Nastrój powagi. Nawet Jan Tomaszewski rzadko dowcipkuje. Z lekkiego odrętwienia wyrywa kadrowiczów selekcjoner:

Kto ma „trefne” przedmioty lub nadmiar dewiz niech to wszystko da mnie. Przechowam, bo na Okęciu mogą być kłopoty. Ja sobie poradzę...

Nie bez obaw wsiadłem do samolotu. Znowu tyły? Wiceprezes PZPN Henryk Loska przysiadł się do mnie i wspólnie – tak trochę dla zabawy, bo o wszystkim decydował trener – ustaliliśmy skład drużyny, taktykę na Greków i zadania dla poszczególnych zawodników. Nawet do kart nas nie ciągnęło, tylko ten mecz mieliśmy w głowie. Czekająca nas trudna przeprawa. Zawodnicy spokojni, rozluźnieni, nie spięci. Zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności, ale publicznie tego nie okazywali. Powoli pewność siebie odzyskiwał Tomaszewski, podtrzymywał kolegów na duchu Szymanowski. Pod nieobecność Deyny trener Górski właśnie Antkowi powierzył funkcję kapitana drużyny.

Na papierze rozegrałem już z Loską mecz z Grekami, wychodził nam remis. Śródlądowanie w Genewie.

– To gdzie my właściwie lecimy, do Madrytu czy do Aten? – zdziwił się „Tomek”.

– Do Aten – odpowiedziała stewardesa – ale przez Genewę i przekazała Jankowi szczegółową informację o trasie lotu.

Jesteśmy znowu w samolocie. Trener Górski z pięknym bukietem kwiatów, które osobiście wręczył mu kapitan załogi pan Cieślikowski. Zawodnicy rozdają autografy, pasażerowie wierzą, że pan Kazimierz zdoła przywrócić reprezentacji jej dawny blask. Ożywia się także wiceprezes Loska:

– „Tomek”, masz karty? Zagramy w brydża...

– Ja, jak żołnierz na posterunku! – wykrzykuje bramkarz. – Zawsze wiozę w torbie odpowiednią broń. Ale komu tak spieszo do egzekucji?... Ja gram w parze z Leszkiem Ćmikiewiczem. Wypłata tylko w dewizach...

Ateny powitały nas deszczem. Ekipa jest już poważnie zmęczona. Starsi zawodnicy ziewają.

– Na sen przyjdzie czas – oburza się trener. – Zaraz po złożeniu bagaży robimy mały rozruch! Pół godzinki, koledzy... Poprowadzi trener Kulesza. Dopiero po tym kąpiel, kolacyjka i... będziecie spać jak susły! Panie Rysiu, jaki dziś będzie: gruziński, jugosłowiański czy polski?...

– Ma pan na myśli koniak? – podchwycił ktoś z boku.

– Jaki koniak?! – oburzył się Górski. – Pytam o markę zestawu ćwiczeń. Pan Rysio zna ich sporo... Nauczył się na licznych kursach zagranicznych. Ostatnio coś podpatrzył u Miljanicia...

Jesteśmy już dwa dni w Atenach, ale jeszcze nie wiemy, kiedy odbędzie się mecz, w środę czy w czwartek...

– Kto tam znowu coś kombinuje – złości się selekcjoner.

– Siła wyższa! – Wyjaśnia Edward Pietrzak z biura radcy handlowego. – W wypadku samochodowym zginął członek greckiego parlamentu Alekos Panagulis. Trwa dochodzenie. Rodzina denata twierdzi, że to było z góry zaplanowane morderstwo polityczne. Stąd to zamieszanie...

– Piszą o tym w gazetach? Do nas nie doszły...

– To zrozumiałe – mówi radca. – W Atenach strajkuje teraz prasa. Tu niemal zawsze ktoś strajkuje. Nawet nauczyciele, lekarze, pielęgniarki...

Ostatecznie mecz odbył się w czwartek. Dla nas żadna pociecha, znowu przegraliśmy i znowu napastnicy nie strzelili bramki. Nie było w zespole indywidualności. Dobrze grał tylko Tomaszewski, nieźle – ale tylko przed przerwą – Ćmikiewicz, poprawnie Wojciech Rudy i to wszystko. Dziwiłem się zwłaszcza, jakim cudem w reprezentacji znalazł się Zbigniew Hnatio. W kraju mówiono o nim – to „gladiator”, tu w Atenach był skazany wyłącznie na pożarcie. Na mecz ze Szwajcarią ściągnięto z kraju posiłki. W Bazylei zameldowali się: Paweł Janas i Zbigniew Boniek z Widzewa oraz Władysław Żmuda ze Śląska Wrocław. Zagraliśmy w mocno zmienionym składzie. Niewiele to pomogło, znowu niewypał, przegrana 1:2. Gorzej już nie można!

Tak właśnie oceniłem dwie przegrane naszej reprezentacji w Atenach i Bazylei. Zupełnie inaczej widzieli to Grecy: działacze, dziennikarze, kibice. Zazwyczaj na towarzyskie mecze międzypaństwowe na stadion Panathinaikosu przychodzi 12-15 tysięcy widzów, natomiast na spotkanie z Polską sprzedano ponad 30 tysięcy biletów. Pełna kasa Greckiego Związku Piłki Nożnej! Nic więc dziwnego, że organizatorzy spełniali każde nasze życzenie, byli nadwyraz sympatyczni i gościnni, a prasa wprost piała z zachwytu. – *„Nawet mistrz świata RFN tak dobrze nie zaprezentował się w Atenach”*. Także uliczni (i nie tylko) sprzedawcy na widok dresów z napisem „Polska” wykrzykiwali na cały głos: – *„Wszystko dziś dla was gratis!”* Spryciarze, ale nie trudno było ich rozszyfrować. Gloryfikowanie przegranych należało rozumieć jako swoisty hymn pochwalny pod adresem zwycięzców. Grecy lepsi od medalistów mistrzostw świata!

Nie traktowaliśmy tych pochwał poważnie, ale chętnie korzystaliśmy z uprzejmości gospodarzy. Oferta była wyjątkowo duża i nęcąca. Dzięki temu część ekipy zwiedziła port w Pireusie i zanurzyła się w morskich falach, nieco

mniejsza grupka wspięła się na Akropol, a byli też tacy (niewątpliwie obeznani z historią starożytną), którym zamarzyła się wyprawa do Delf. Może tam, mityczna wieszczka Apollina, Pytia i nam wywróży, co nas czeka na Olimpiadzie w Montrealu. Bo na razie tylko trwonimy uznanie i sławę zdobyte w Monachium.

Nad Akropolem przelatuje samolot. Drżą mury Partenonu, świątyni boskiej Ateny. Tak to współczesność, jej zdobycze i technika starają się zetrzeć i zagłuszyć echa starożytności. Zwiedzamy Narodowe Muzeum Archeologiczne. Płaskorzeźby, freski, posągi. Niektórzy członkowie ekipy po raz pierwszy słyszą imiona i nazwiska: Zeus, Hera, Afrodyta, Artemida, Perykles, Fidiasz. Dowiadują się, że Leonidas wstawił się w bitwie pod Termopilami, a Miltiades po morderczym biegu z Maratonu do Aten przyniósł rodakom radosną wieść: – **Persowie pokonani!...** Zwycięstwo! Padł z wyczerpania. Już nie żył... Taka jest historia biegu maratońskiego.

Dotarło to wszystko do naszych reprezentantów akurat wtedy, kiedy na Węgrzech w książce Antala Vegha „**Dlaczego węgierska piłka nożna jest chora?**”, obok wielu innych przyczyn tego stanu, można było przeczytać o zupełnej obojętności tamtejszych piłkarzy wobec historii, tradycji, zdobyczy kultury, nauki i sztuki. Przykry zbiór wad o szerokim zasięgu ogólnoludzkim. Na Węgrzech w czasach Floriana Alberta, talentu na miarę światową, pojawiły się też elementy lekceważenia, nawet przekreślenia wcześniejszych, niewątpliwie dużych dokonań Kocsisa, Hidegkutiego i Puszkasa.

Pamięć obecnych futbolistów o straconej popularności – pisał Vegh – żyje nadal, ale wyłącznie w kabaretach... Dziś każdy zawodnik tyle tylko daje z siebie na boisku, ile z tego wysiłku będzie mógł zyskać w formie forintów... Zawodowstwo czy amatorstwo? Wzajemnie się tu oszukujemy. Działacze okłamują piłkarzy przed meczem, a piłkarze działaczy, trenerów i publiczność – na boisku.

Trzeba to koło, w którym nie ma miejsca na inne wartości, przerwać! Niech nawet będzie futbol słabszy od dzisiejszego, ale niech będzie czysty...

W połowie lat siedemdziesiątych nasze piłkarstwo też trapiły przeróżne dolegliwości, ale o tak mocno zaawansowanej chorobie jak na Węgrzech, jeszcze nie można było mówić. Nasi reprezentanci nie ztratili wrażliwości na piękno i spuściznę twórców europejskiej kultury, znacznie większa była też skala ich sportowych ambicji. W Atenach, kolebce nowożytnych Igrzysk Olimpijskich, a właściwie w Parnis imponującym nowoczesnym greckim ośrodku sportowym, z niepokojem mówiliśmy również o tym, co czeka naszych piłkarzy w Montrealu.

Jak to co? – zachnął się pozujący na trybuna ludu, Jan Tomaszewski. – Przegrywamy teraz mniej ważne bitwy, ale mogę zapewnić w imieniu kolegów, że wygramy wojnę. Z Olimpiady z pustymi rękami nie wrócimy!

Już to, choć w nieco innej formie, słyszałem. Na razie nie było powodów do optymizmu. Opinię „Tomka” w pełni podzielał tylko trener Antoni Brzeżańczyk. Przyleciał z Rotterdamu, w Grecji załatwiał sprawy osobiste. Aby poprawić humor Górskiemu, a mnie nieco stępić pióro, nie szczędził grosza na szampańskie spektakle w ateńskich tawernach. Grała orkiestra, ktoś tańczył Zorbę, a kelnerzy z hukiem otwierali butelki. Szampan lał się strumieniami. Na kamiennych podłogach tworzyły się musujące kałuże, można było zdjąć buty i moczyć nogi w tym szlachetnym trunku. Antkowi udało się nakarmić nas nadzieją, ale w Bazylei przekonaliśmy się, że naprawdę jest ona „matką głupich”. Nie pomogło wsparcie Bońka, Janasa i Żmudy, „biało-czerwoni” znowu przegrali. Fatalny serial – piąta z kolei porażka. Paweł Janas i Władek Żmuda jednak pozytywnie wpłynęli na postawę bloku obronnego, a Zbyszek Boniek zdobył honorową bramkę. Pierwszą w drużynie narodowej...

W Bazylei zebrało się spore grono entuzjastów podróży krajoznawczych i amatorów hazardowych gier w karty. Większość i tu stanowili reprezentacyjni piłkarze, ale wśród tzw. „osób towarzyszących” też było kilku chętnych do po-



zornie niewinnej zabawy w pokerka. Rzeczywiście, zaczęło się od stawki nie przekraczającej jednego franka szwajcarskiego, ale skończyło się na puli sięgającej tysiąca helweckiej waluty. Dziś dla naszych „zachodnich zawodowców” było by to „małe piwo”, jednak wtedy nie tylko dla przeciętnego obywatela z za „żelaznej kurtyny” były to sumy znaczące. Beneficjentem tej gry pięcioma kartami był tylko jeden z nas, Miruś Skórzewski „wyszedł na swoje”, a z pustymi portfelami odeszli od stołu Włodzimierz Żróbik z Polskiej Agencji Prasowej i Gustaw „Gucio” Górecki z COS-u. Zapożyczył się u kibicującego reprezentacji bliżej nieznanemu mi „maharadży”. Bezinteresownie?

Tego nie wiem, w każdym razie wobec zwycięzcy „Gucio” zachował się honorowo. Spłacił dług już w czasie wycieczki parostatkiem po Renie w trójkącie przygranicznym Szwajcarii z Francją i Niemcami. Wyraźnie nadrabiał przy tym miną, demonstracyjnie paląc jedno cygaro za drugim i delektując się – mówił, że to wyniósł ze Lwowa – jedną „gilazją” piwa za drugą. Po powrocie do hotelu zasnął, natomiast znaczna część kadrowiczów (trener Górski też odpoczywał) ukradkiem wybrała się do kina i z wypiekami na twarzy oglądała (wtedy mówiono, że to pornograficzny) film „Emmanuelle II”. Dyplomatycznie przemilczałem ten fakt. A były momenty erotyczne, oj były...

W Szwajcarii Boniek nie grał olśniewająco, ale na tle pozostałych zawodników sprawiał dobre wrażenie i wydawał się być pewnym kandydatem do ekipy olimpijskiej. Miałem słabość do tego zawodnika. Przed Ogólnopolską Spartakiadą Młodzieży w 1973 roku stawiałem go w grupie największych talentów obok Janusza Kupcewicza, Stanisława Terleckiego i Henryka Miłoszewicza. Ale w Krakowie Bońka nie było. Zapytałem więc trenera koordynatora Bydgoskiego OZPN Kazimierza Gurtatowskiego, co się z nim dzieje. Usłyszałem, że ma kłopoty. Jakie i dlaczego? Postanowiłem to wyjaśnić. W zbiorowej publikacji „**Strzał w dziesiątkę**” opisał to red. Paweł Smaczny:

...Pracowałem wówczas w dziale sportowym „Sztandaru Młodych”. Któregoś dnia zadzwonił telefon. Odezwał się Jerzy Lechowski i zaprosił mnie na Wawelską do swej redakcji. Pojechałem chętnie, ale przyznaję, miałem tremę, bowiem kontakt z „Piłką Nożną” traktowałem jako pewnego rodzaju zawodową nobilitację. Lechowski postawił sprawę jasno:

„Pan podobno pochodzi z Bydgoszczy – rozpoczął. – Czy nie zechciałby pojechać nad Brdę w pewnej delikatnej sprawie. Gra tam w piłkę niezwykle uzdolniony chłopak... Trzeba zrobić wszystko, by grał w nią nadal. Szkopuł w tym, że jest zdyskwalifikowany... A niebawem kolejny turniej UEFA, eliminacje już trwają. Było by dobrze, gdyby zagrał w Szwecji, najpierw także w tych eliminacjach. Powiem panu jeszcze tyle, że ten chłopiec nazywa się Zbigniew Boniek.

Reszty nie trzeba było mi wyjaśniać. Wiedziałem w czym rzecz. Otóż w półfinałach mistrzostw Polski juniorów, rozgrywanych w Szczecinku, młodzi piłkarze Zawiszy mieli wielką szansę na zakwalifikowanie się do finałów. Innego zdania był jednak sędzia, wypaczył wynik meczu z Górnikiem Wałbrzych. Dostało mu się za swoje. Wśród tych, którzy za niewyparzone języki zobaczyli czerwone kartki, był Boniek. Konrad Kamiński, wychowawca i pierwszy nauczyciel Zbyszka, także Miłoszewicza i wielu innych, przyznał rację sędziemu. Skomplikowana sprawa. Jak więc to wszystko ugryźć? Stać Bońka na wiele i trzeba mu pomóc, bo rzeczywiście może zajść daleko.

Miał Zbyszek w sobie coś, co wyróżniało go spośród rówieśników – powiedział trener Kazimierz Gurtatowski. – Co? Przede wszystkim był do przesady ambitny. Nikt z jego kolegów nie odważyłby się zakpić z jego płowej czupryny... Tak rodził się lider zespołu, nie znoszący sprzeciwu... Lepszym od siebie chciał jak najszybciej dorównać.